

# Dostojewski szeptem

**B**racia Karamazow", po dziewięciu latach wznowieni w Starym Teatrze przez Krystiana Lupa, są kolejnym zwycięstwem Dostojewskiego nad czasem. Przedstawienie oświetla wielkość pisarza na wiele sposobów i od różnych stron. Znać rękę reżysera, ale przecież na plan pierwszy wybija się ogromny pierwowzór literacki. Choć grają tutaj ci sami aktorzy co przed laty, spektakl nie sprawia wrażenia przedstawienia powtórkowego. Dokonał się tu aktorski triumf ducha nad ciałem. Adaptacja Dostojewskiego uderza z jeszcze większą siłą niż późniejsze wielkie spektakle Lupa, na przykład „Lunatycy” według Hermana Brocha.

To paradoks, gdy dwudziestowieczni „Lunatycy” mówią o rozpadzie świata duchowego człowieka, skarleniu uczuć i dążeń, rozpaczliwym samooszustwie, jakiego dokonuje na sobie człowiek i tak nie ocalając swej duszy. A to odpowiada naszej mizerii duchowej.

W przedstawieniu Lupa w porównaniu z literackim pierwowzorem poraża

brak wielkości. Ludzie są w nim jak karły u stóp dawnych olbrzymów. Kiedy patrzymy na postaci niosące na scenie potężne „przekłete problemy”, nie możemy się w nich dopatrzeć bohaterów gigantów. To tylko zwykli ludzie. Alosza (Paweł Miśkiewicz) - mnich cichy, małowówny, szary - nie ma palącego

## W inscenizacji „Braci Karamazow” Krystiana Lupa brak szaleństwa

spojrzenia proroka, którego dotknął palec boży, ani skurczonej do robaka postawy pokornego braciszka. Ale kiedy w pierwszej scenie głos z ciemności pyta go, kim jest, nie ma wątpliwości, że to ktoś wielki pyta o wielką rzecz. W pograżonej w malarskim półmroku przestrzeni pojawiają się kolejne postaci cienie, ludzie cienie, których materialność jest tylko półprzezroczystym ubiorem dla duszy. Operowanie świa-

łem na wzór malarstwa Rembrandta stwarza klimat sposobny dla mar duchowych, tutaj ubranych w spłowiałe, zużyte stroje. Postaci Dostojewskiego wzięte są w podwójny nawias: przez ową oniryczność i przeciętność, zmniejszenie formatu. Stary Karamazow (Jan Peszek) jest małym żalosnym błaznem, inteligentnym i ze skłonnością do dręczenia się. Kiedy rozmawia ze świętym starcem Zosimą (Andrzej Hudziak), nie ma w sobie nic z bezczelnego paniska i wielkiego łotra. Dymitr (Zbigniew Ruciński) to kawał zwykłego chłopca, który chce tej samej kobiety co Ojciec. Iwan (Jan Frycz) mimo swoich poglądów o nieistnieniu Boga i o tym, że wszystko jest dozwolone, nie sprawia wrażenia nadczłowieka, lecz zadufanego inteligenta. Wśród kobiet nie ma ani jednej na miarę Nastazji Filipownej, upadłej *femme fatale*. Grusza (Katarzyna Gniewkowska), którą wyrrywają sobie dwaj mężczyźni, jest tylko ciepłą kobietą, skrzywdzoną i poniżoną, mszczącą się na życiu. Lise (Beata Fudalej) to historyczna, pełna pretensji i megalomanii kaleka uprawiająca psychologiczny szantaż, Katarzyna zaś (Agnieszka Mandat) to tylko pewna siebie panna z dobrego domu. W tych postaciach brak szaleństwa, o którym myślimy, mówiąc: „Dostojewski”. Nie są one interesujące same w sobie, lecz tylko dzięki temu, że się szamocą. Pokazują, jak szalony jest nawet mały człowiek.

© T. Żurek/Agencja Gazeta



Krystian Lupa (drugi z lewej) podczas próby „Braci Karamazow”

W dwóch tylko wypadkach Lupa robi wyjątek dla niezwykłości. Starzec Zosima Andrzeja Hudziaka jest ikoną świętego: prawie cały czas mówi szeptem, głowę i ramiona ma pochylone - zasłuchany w siebie i innych sprawia niemal niematerialne wrażenie, cienki i przezroczysty jak opłatek, jakby żył na pół nie w tym świecie. Olśniewająca jest scena śmierci Zosimy. Bohater siedzi na kanapie w asyście uczniów mnichów w każdej chwili gotowych, by go przenieść na śmiertelne łóżko. Do końca mówi swoje przesłanie, by pozostawić po sobie jak najwięcej, coraz ciszej i ciszej... Andrzej Hudziak dokonuje tu wielkiej sztuki przemienienia szeptu w głos, tak jak w „Lunatykach” przemieniał milczenie w krzyk.

Po raz drugi Lupa odstępuje od reguły przeciętności w stosunku do Diabła, którego gra Piotr Skiba. Najpierw jednak Skiba jest Smierdiakowem, bratem Karamazowów z nieprawego łóża, niczym Kaliban u Szekspira przez swoje pochodzenie skazanym na podłość. Pokrętną sylwetką, skrępowanymi ruchami i oślizgłą pokorą wyraża świadomość siebie, mściwą podłość, w której słabość splata się z perfidią. Nie ma wątpliwości, że taki osobnik nie może być zbawiony. Dlatego po śmierci staje się Diabłem. Patrząc na Skibę, ma się pewność, że jest on na tym świecie, lecz nie z tego świata. Diabelskość naprawdę istnieje na scenie. Diabeł pojawia się u ateisty Iwana na długą rozmowę, podczas której wywleka z niego wszystkie

czarne strony duszy, by go kusić do zle-

go, do wiary w siebie. W skopanej pościeli, machając gołymi nogami, śmiejąc się lekko i inteligentnie jak bezczelny bachor, Diabeł powtarza swoje na wszelkie sposoby i już jest bliski celu, gdy zjawia się drugi człowiek i go płoszy. To Alosza z wieścią o samobójstwie Smierdiakowa, mordercy Ojca.

Nie będzie jak w powieści sceny sądu nad Dymitrem oskarżonym o zabójstwo. Takim sądem było śledztwo. Podczas przesłuchania Dymitrowi staje przed oczyma Ojciec: nagi, mordowany, wreszcie jako krwawy dowód zjawiający się w pokoju przesłuchań. Zrazem jako ofiara zbrodni i jej przyczyna, jako winny, który samą swoją istotą sprowokował zbrodnię. W spektaklu są też inne sceny wizyjne, jak wspaniałe i proste wyobrażenie wesela w Kanie Galilejskiej - tłum stojący w oślepiającym świetle, któremu zmarły Zosima każe się przyglądać Aloszy. Świętość jest kontrapunktem przyziemnej rzeczywistości, świat ducha zmagając się z trzema tysiącami rubli, bez których nie byłoby całej tragedii, wzniosłość bezinteresownych uczuć ze zwierzęcymi popędami. Straszliwy chrześcijański dualizm natury ludzkiej odsłania się w całym okrucieństwie i potęgę.

Sztuka kończy się pojedynkiem między ateistą Iwanem i Diabłem. Iwan - sceptyk obrażony nieszczęściem człowieka, jakie Bóg mu zgotował - przegrywa (a może właśnie wygrywa?). To znaczy daje wiarę istnieniu Diabła. Takim finałem Lupa stawia kropkę nad „i”: diabeł działa w życiu tych marnych postaci scenicznych, a ich losy to jedno wielkie z nim zmaganie. Dzięki Lupa i jego aktorom Diabeł ukazał się na scenie i wielu go ujrzało, także niedowiarków. Czyli nie wszystko stracone - można z nim walczyć do pierwszego promienia słońca.

Anna Schiller